Kosmiczna podróż Kazimierza Głaza (1931-2023)

Kazimierz Głaz (z lewej) i Krzysztof Kasprzyk, Elbląg 2009 r., fot. Krzysztof Kasprzyk

Krzysztof Kasprzyk *(Toronto, Sopot, Patagonia, cały świat)*

W pierwszym dniu jesieni, 23 września, z przejęciem śledziłem powrót na Ziemię kosmicznej sondy Osiris Rex, z próbkami z asteroidy Benu, krążącej gdzieś w niewiarygodnie dalekich głębiach Wszechświata, nie wiedząc, iż minęła się ona dzień wcześniej z ulatującą, ku owym niezmierzonym głębiom, artystyczną duszą mego przyjaciela z Toronto, malarza i grafika, Kazimierza Głaza.

Wędrówka dusz, o której z Głazem nie raz rozmawialiśmy, wychodząc oczywiście od jego ulubionej sztuki bizantyjskiej, lecz także zahaczając o egipski sennik, poglądy Zoroastrian, a najczęściej o wierzenia Pierwszych Narodów Kanady, zawierają ów *spiritual movement,* przejawiający się nie tyle i nie tylko po śmierci, ale przede wszystkim w życiu wielkich artystów, w ich duszach i ciałach. W ich wytrwałych i nieustannych poszukiwaniach ekspresji artystycznego wyrazu, interpretacji i przetwarzaniu rzeczywistości. Spotkania z panem Kazimierzem, bo do końca nie byliśmy na „ty" i owo zwracanie się do siebie per „Panie Kazimierzu" (ja często dodawałem „Drogi", w domyśle „Bezcenny") czy „Panie Krzysztofie", były swoistym ceremoniałem. Każdorazowo stawały się uroczystością i wielkim zastrzykiem intelektualnej energii ku dalszym życiowym peregrynacjom.

Ciągnęły się latami (poznaliśmy się w 1987 roku) poprzez maile i długie telefoniczne rozmowy. Za wyjątkiem ostatniej, krótkiej,

odbytej z początkiem czerwca tego roku w Toronto, gdy dotarło do mnie, że momentami jest on jakby już w innych rejonach. Jednak sądzę, że nie omylę się twierdząc, że czasami Głaz był o wiele wcześniej w innych rejonach, gdy nieobecny *TU*, wyłapywał *STAMTĄD,* hausty natchnienia i przemyśleń, co mu się nawet zdarzało w czasie spaceru ulicą.

I nasze niezapomniane rozmowy osobiste – gęste, intelektualne, przekorne; uwielbiał stawiać kontrę jakimś stwierdzeniom, by zaogniać dyskusję i oświetlać różne punkty widzenia. Czasem się ostro spieraliśmy o sztukę współczesną, której w wielu przejawach nie znoszę i nie poważam z racji jej pustego narcyzmu, efekciarstwa i wręcz marketingowych wymysłów. W jego domu na Roncesvalles, a potem dwukrotnie w małym, podniebnym mieszkanku w centrum Toronto, przy spotkaniach w restauracji „Polonez”, gdzie z zadowoleniem pałaszował pierogi lub przypadkowo, kiedy się natykaliśmy na siebie podczas zakupów w polskich sklepach, w byłej „polskiej dzielnicy” na Roncesvalles.

Drzeworyt, który posłużył za projekt okładki książki Kazimierza Głaza „Gombrowicz w Vence” z 1985 r.

Jednakże ostatnimi laty najczęściej spotykaliśmy się w kawiarni Starbucks przy głównej i znanej torontońskiej ulicy Yonge (kawiarnia już nie istnieje; po pandemii Yonge wygląda w wielu miejscach tak jakby ją wypruto – bankructwa). Trzykrotnie spotkaliśmy się w Polsce – na krakowskim Rynku, który Głaz wprost uwielbiał i na jego wystawie w Elblągu, kiedy postanowiłem, nic nie mówiąc, zrobić mu niespodziankę i się tam pojawić. W ostatnich latach nasze spotkania zakłóciły moje

wielomiesięczne wyjazdy do Patagonii, następnie pandemia, a potem jego kłopoty zdrowotne i posunięty wiek.

W tej kawiarni na ulicy Yonge, mieliśmy długie, czasem dwugodzinne posiedzenia. Któregoś roku, a było to jeszcze przed pandemią, Głaz zdumiał mnie nagle mówiąc o ludziach, podążających reprezentacyjną ulicą Toronto: „Niech pan spojrzy. Ci ludzie – iluż bezdomnych. Alkoholicy i narkomani. Coraz większa ilość chorych psychicznie. Najlepszy kraj na świecie! Jestem poruszony i przerażony. Sygnał nadchodzącego końca". Być może dlatego przestał tam chodzić na niemal codzienne zaleganie przy kawie, w wygodnych, klubowych fotelach.

Kiedyś wzbudziliśmy tam ogólne zdziwienie, gdy w przypływie starczego zaniku pamięci nie mogliśmy sobie przypomnieć nazwy miasta w której mieszkał Marc Chagall i po parunastu minutach jednocześnie doznaliśmy olśnienia, wykrzykując triumfalnie na cały głos „Witebsk". Chagall był bardzo ważny w życiu Głaza, bo niejako otworzył mu drogę na Zachód, co finalnie skończyło się osiedleniem w Toronto. Chagall na IV Międzynarodowym Bienale Malarstwa w Paryżu zoczył prace Głaza i scedował na niego swoją Nagrodę Erazmusa, co umożliwiło panu Kazimierzowi trzyletni pobyt we Francji i wyrwanie się z coraz bardziej dusznych objęć PRL-u.

Owe prace, zatytułowane *Impresje moskiewskie,* były wysłane do

Paryża po nagrodzie dla nich na Biennale Młodych w Sopocie, w 1965 roku. I jak tu nie wierzyć memu innemu, torontońskiemu przyjacielowi, Duke Redbird'owi, że nic w naszym życiu nie dzieje się przypadkiem. Dokładniej – dzieje się przypadkiem, ale za nim kryją się niemal zawsze inne sensy, które trzeba umieć odczytywać, a nadto mieć na nie wyczuloną wrażliwość. A ponieważ wierzę także w teorie zataczania kół Borgesa, bo często powracamy w te same miejsca; te wspomnienia Głazowe piszę w Sopocie, gdzie mieszkałem onegdaj przez 21 lat, półtora kilometra w linii prostej od mego byłego domu, w roku 2001 zaszedłem tam do dyrekcji Państwowej Galerii Sztuki, z pomysłem zorganizowania wystawy na 40 lecie debiutu Głaza. Wystawy jego wspaniałych gwaszy i prac z cyklu bizantyjskiego. Zaproponowałem również spotkanie literackie, bowiem publikował małe eseje i opowiadania, a Wydawnictwo Literackie w 1989 roku wydało jego książkę „Gombrowicz w Vence".

Styl bycia Głaza i snutych przez niego barwnych opowieści, to był styl umiejscowiony gdzieś pomiędzy Giedroyciem a Gombrowiczem. Wdzięk intelektualny i artystyczny z podkładem solidności i powagi, z domieszką ironii i dystansu do samego siebie oraz wyniesionej z PRL-u w młodych latach artystycznej zadziorności umiejętności sprytnego poruszania się w zastanej rzeczywistości. To się później nader przydało w Kanadzie, kiedy powołał do życia centrum sztuki – *Toronto Center for Contemporary Art,* której siedzibą był jego wynajęty dom na ulicy

Roncesvalles. W Kanadzie u schyłku lat 60. zaczęło się mocne inwestowanie w kulturę i panowała wielka otwartość na pomysły w tej dziedzinie, a także znajdywały się pieniądze. Głaz szybko i umiejętnie wykorzystał owe otwierające się możliwości uzyskania dotacji i poprowadzenia dalszego życia, w nieoderwaniu od jego artystycznej działalności. Prowadził także od czasu do czasu zajęcia plastyczne w szkołach torontońskich oraz był profesorem rysunku i grafiki na Wydziale Sztuki Centralnej Szkoły Technicznej. I zabiegał o umieszczenie swoich prac w kanadyjskich centrach sztuki, a potem w wielu światowych muzeach sztuki współczesnej (m.in. Tokio, Nowy Jork, Sao Paulo).

Od lewej: Witold Gombrowicz, Jozev Jarema, Kazimierz Głaz. Zdjęcie zostało zrobione w Galerie Odile Harel w Vence, fot.

arch. Kazimierza Głaza.
Ironię zaczerpnął Głaz od Gombrowicza, ową zaczepliwość ku prowokowaniu dyskusji. Poznał się z Gombrowiczem jako 35-cio letni malarz, a Gombrowicz za malarstwem nie przepadał i uskuteczniał z zapałem swoje prowokacje. Głaz w Vence spotkał się także z Chagallem, Miro i Maxem Ernstem i wieloma innymi osobami, gdzie znalazł się w 1966 roku dzięki kolejnemu stypendium – z Fundacji Michael Karolyi. Dwuletni pobyt obrodził specjalnym cyklem prac, zatytułowanym *Vibrations du Midi,* w których starał się oddać swoje zafascynowanie południowym, śródziemnomorskim światłem. Uważam, że zdecydowanie była to kontynuacja jego skłonności do tworzenia prac w tematycznych cyklach, które zapoczątkowały *Impresje moskiewskie*.

Był także nieustannie zafascynowany tamtym rejonem świata, gdzie często się z Toronto wyprawiał – Hiszpania, Portugalia, południowa Francja, Italia i Grecja, znając przy tym parę języków, co natychmiast ułatwia kontakt, a także pogłębia znajomości. Głaz mnie regularnie i bezlitośnie zawstydzał moją nieznajomością innych języków, w ostatnich latach szczególnie w odniesieniu do hiszpańskiego. Sam natomiast dokonywał nawet swoistych szarż, na przykład organizując na jakiejś greckiej wyspie wykład w lokalnej tawernie, na który w większości przybyli rybacy. Wykład był – a jakże – o geometrii bizantyjskiej po… grecku i jak sam powiedział „chyba nic nie rozumieli, ale

wysłuchali i nagrodzili brawami”. Zapytałem nieco ironicznie – „Nie rozumieli z powodu pana języka greckiego?” „Ależ nie – odpowiedział z szelmowskim uśmiechem – z powodu geometrii”.

Sądziłem, że moja propozycja o wystawie i spotkaniu z tak wybitnym artystą, z szerokimi horyzontami i ciekawymi doświadczeniami, zostanie przyjęta w Sopocie z entuzjazmem. O ja naiwny! Już wtedy nie tylko zaczęła się choroba celebryctwa i podziałów opartych na układach, włącznie z politycznymi, ale przede wszystkim takie pojęcia jak intelekt czy artystyczne zainteresowania, zaczęły być natrętnym, zbędnym i niepotrzebnym balastem. Był to drugi okres eksplozji dorabiania się, po przeważnie bandyckich latach 90., a zdrowy snobizm u bogatych, jeszcze się nie wykształcił. Zresztą do dziś. Po pierwsze, dyrektorowi galerii nazwisko i twórczość Głaza nic nie mówiły. Podobna sytuacja do tej, kiedy opowiadałem w Polsce o wybitnym pilocie z Kanady, Januszu Żurakowskim – trzepotanie rzęs i zakłopotanie – któż zacz… Wymieniliśmy maile, podałem dyrektorowi link do Głaza na Internecie, zobowiązałem się do aktywnej współorganizacji wystawy i spotkania, i zapadła cisza.

Gdy zwiedzałem, w kwietniu 2011 roku, muzeum sztuki współczesnej Guggenheim’a w Bilbao, pomyślałem, że jest to dobre miejsce na wystawę Głaza. Z sekretariatu muzeum otrzymałem adres mailowy i jeszcze z Polski nadesłałem im propozycję, wraz z załącznikami do prac pana Kazimierza.

Różnica pomiędzy profesjonalnymi pracownikami i ludźmi w ogóle, w Hiszpanii a w Polsce, polega na tym, że po tygodniu dostałem z Bilbao odpowiedź, że dziękują za propozycję, przejrzeli ciekawe prace artysty, lecz mają plan wystaw opracowany na pięć lat z góry i może w odległej przyszłości będzie można coś zrobić. Formuła taka, jak i popularne „będziemy w kontakcie”, jest w świecie Zachodnim uprzejmą formą zbycia. Lecz człowiek nie czuje się ani natrętem, ani kimś zlekceważonym i zamiast zgrzytać zębami i parskać, nawet się pogodnie mości w sobie. To zasada podobna tej ze starego chińskiego powiedzenia: „Jak idziesz w górę, to się wszystkim kłaniaj, bo może będziesz wracał tą samą drogą”.

Kazimierz Głaz, Gwasze

*

Dwa lata później znów postanowiłem zaatakować sopocką galerię, nie czekając na okrągłe rocznice, a mając na uwadze inne wzmożenie w tamtym czasie – kościelne, bo Kościół zaczął rozpychać się energicznie w rzeczywistości, a ludzie, nie tak jak dzisiaj, cali byli wręcz rozmodleni i łaskawie patrzyli na sztukę związaną z sacrum. Pomyślałem, że będzie można zorganizować

wystawę wspólnie z czynnikami kościelnymi, no bo przecież forma i styl prac Głaza, nie raz były odczytywane jako kontynuacja tworzenia ikon (wobec tej interpretacji pan Kazimierz wytrwale protestował). Okazało się, że jest nowy dyrektor, ale uprzednia forma kontaktu, konkretnie olania go, była taka sama. Bo dla dyrektora, całkiem uprzejmego, moja obecność była pojawieniem się jeźdźca znikąd, a postać Głaza całkowicie enigmatyczna.

Być może zaszedł też odruch tak trafnie opisany przez Janusza Głowackiego – nie daj Boże Polakowi osiągnąć sukces za granicą, stać się kimś. I skomplikowany splot odniesień na linii Polak w Polsce i Polak poza Polską. To przecież żenujące, owo negatywnie podbarwione określenie „życie na obczyźnie", kiedy ktoś doskonale podziela w sobie dwu- lub wielowątkowość, żyjąc w jakimś kraju, a nie tracąc kontaktu z Polską. Nic w tym obcego – ani tu, ani tam. Emigracji lub osiedleniu często przypisuje się charakterystyczne piętno społeczne i kulturowe. Z jednej strony zachwyt Wielką Emigracją i jej idealizowanie wraz z pewnym zakłamywaniem, z drugiej potępienie, oskarżanie o zdradę, a przede wszystkim wygodnictwo. Zostało to rozwinięte do monstrualnych rozmiarów w PRL-u, gdy wymazywano także wybitnych, głównie z kulturalnej mapy.

Na argument, że jego prace są w najlepszych muzeach i galeriach na świecie, brew dyrektorowi sopockiej galerii nie

drgnęła. Po latach przyznałem się panu Kazimierzowi do mych sopockich podchodów za jego plecami. Był wzruszony, ale rzekł krótko „Niech pan da sobie spokój, panie Krzysztofie. Nie warto”. Być może dlatego Głaz starannie sam zadbał o swój dorobek i w ostatnich latach zdołał umieścić go w Polsce, zdeponować w zaprzyjaźnionych miejscach, głównie w Chełmie i we Wrocławiu, gdzie studiował i gdzie opracował teorie sensybilizmu, a wraz z Michałem Jędrzejewskim zorganizował pierwszy happening artystyczny w Polsce, w roku 1957.

W Vence poznał także kanadyjską rodzinę, która spędzała tam wakacje. Córka tych państwa zadurzyła się w panu Kazimierzu, z wzajemnością, i ta rodzina zaproponowała i sponsorowała przyjazd Głaza do Kanady w 1968 roku. Wyjeżdżał chętnie z Francji, bo poza zakochaniem, niezbyt gustował w rewolcie młodych (Paryski Maj 68). Po przyjeździe do Toronto, umknął, jak mi opowiadał „ze złotej klatki”, bowiem okazało się, że rodzina mieszka w jednej z najbogatszych dzielnic Toronto – Rosedale (mieszkam w Toronto, 10 minut na piechotę od niej, czyli kolejne koło stykowe Borgesa…). Miał się o nic nie martwić, wszystko było do załatwienia i ułożenia i… i pan Kazimierz zerwał narzeczeństwo. To podobny heroizm do późniejszej decyzji, że nigdy w życiu nie będzie miał agenta dla organizacji wystaw i sprzedaży swoich prac.

Kanadyjska panna była śliczną dziewczyną. Wiem, bo raz w życiu

widziałem ją wiele lat później, w polskiej restauracji na Roncesvalles. Piękna, szykowna kobieta. To był ich wieloletni ceremoniał – Kazimierza i jej (nie przypominam sobie, by mi podał jej imię). Na każdorazową rocznicę poznania się, Głaz zapraszał ją na pierogi do „Poloneza”.

Kazimierz Głaz, Anioł Stróż, luty 2019 r.

Głaz żył samotnie, lecz nie będąc samotnym. To też charakterystyczne, że w języku polskim istnieje jedno określenie na ów stan. W angielskim dwa – *lonliness* i *solitude*. Można je

przetłumaczyć jako „samotność” i „być samotnym”. Bo są ludzie żyjący z kimś lub wieloma osobami pod jednym dachem i bywają wręcz przeraźliwie samotni. Głaz, podobnie jak ja, często podróżował samotnie. Obaj doszliśmy do tego samego wniosku – samotność podróżnika wzbudza zaciekawienie u tzw. lokalsów, ułatwia kontakt, skłania do życzliwości i pomocy dla nieco zagubionego przecież *foreigner, extranjero, straniero…*Lecz pod zasadniczym warunkiem – okazywania szacunku Innemu i uczenia się, a nie pouczania.

Kolorowa indywidualność Kazia, jak go poufale nazywaliśmy w gronie znajomych, przejawiała się w rozlicznych anegdotach, sporej dozie humoru i inteligentnej przewrotności. Wszystko to już zaistniało w wymyślonym i stale przetwarzanym (sporo nowych dodatków w miarę odkrywania nowinek artystycznych i naukowych) sensybilizmie, który zawierał wszystkie teorie świata, włącznie z tymi, których jeszcze nie odkryto.

Nie zapomnę z jakim rozbawieniem przyjął pan Kazimierz mój pozorowany zarzut, że w schemacie sensybilizmu nie uwzględnił jakże ważnego wynalazku, a mianowicie destylacji alkoholu. To słowo pochodzenia arabskiego (powszechnie wprowadzone dopiero od wieku XVI) – al- kuhl lub al-ghoul (może od niego pochodzi wyraz charakterystyczny dla przełykania „gul -gul”, a także „golnąć” sobie…) oznaczające drobny proszek, a także złego ducha. Ów „zły duch” wkroczył szerokim frontem w

destylacje wina (też ponoć wymyśloną przez Arabów), głównie w Hiszpanii, Portugalii i Francji w wieku VIII, gdy Maurowie zasiedlali półwysep Iberyjski. Alkoholu używano najpierw jako środka leczniczego i dla przedłużania życia (sic!), nazywając go „eliksirem leczenia” lub „porywającą wodą”.

Ta woda porywała mnie kiedyś rzeczywiście regularnie, na rozlicznych wernisażach w Gdańsku, Sopocie, Warszawie, Berlinie i Toronto, gdy raczyłem się ulubionym czerwonym winem, które według mnie ułatwiało przyswajanie prac artystycznych, a przede wszystkim kontakt z twórcą i publicznością. W Toronto doszło do tego, że po paru latach pewien dyrektor galerii sztuki, Zbigniew P., przestał mnie powiadamiać o wernisażach. Gdy się dziwiłem czemuż tak o mnie zapomniano, właśnie Głaz mi to zdradził. Na me pytanie, dlaczego nie dostaje już zaproszeń na wernisaże, powiedział, że o to samo zapytał dyrektora galerii i usłyszał „bo wypija za dużo wina”.

Kazimierz Głaz, Kraków 2010 r., fot. Krzysztof Kasprzyk

A propos wystaw. Było dla mnie wielkim zaszczytem i jeszcze większą przyjemnością dwukrotnie pomagać panu Kazimierzowi w przygotowywaniu jego wystaw w Galerii Pekao w Toronto. Przy trzeciej wystawie, z roku 1989, nawet zostałem dopuszczony do aranżowania jego prac w przestrzeni – wyjątków z cyklu litografii Approach *III-Esoteric* i *The Power of Silence* oraz wspaniałych gwaszy z serii *The Essence*. Dzieła pana Kazimierza przyciągały mnie i wprost poruszały swoją niesamowitą kolorystyką, ich proporcją takiego dobierania, że odnosiło się wrażenie doskonałości – wszystko było na swoim miejscu, włącznie z emanującym z nich spokojem. Ten spokój z kolei był niejako uzyskany z zasady geometrii bizantyjskiej, w której Głaz nie tylko gustował, ale wręcz był w niej zakochany. Zasada trójstronnego podziału obrazu, najczęściej pod łukami i

wewnętrznej ramy, co wielu osobom i krytykom kojarzyło się z ikoną. Tego odniesienia pan Kazimierz wprost nie znosił, protestując, że to nie są współczesne ikony, ale właśnie zaczerpnięcie formy z głębin sztuki bizantyjskiej.

Nadto był zwolennikiem, zarówno w malarstwie, jak i pisaniu krótkich opowiadań, kojarzenia elementów najczęściej na zasadzie – z dwóch pozornie nieprzystających elementów, tworzy się trzeci, który wszystko dopełnia lub kreuje nowe pola interpretacji. Dlatego tak bardzo był zachwycony filmem „Babel" Alejandro Iñárritu, twórcy innego wspaniałego filmu „Zjawa".

Bizancjum to było rozpięcie pomiędzy Wschodem a Zachodem, coś co nie raz napiętnowało nie tylko polskich artystów, lecz także wielu emigrantów i osiedleńców. Bizancjum – miks antyku (rzymskie tradycje, greckie zasady sztuki) z wczesnym Średniowieczem, naznaczonym wpływami nowej religii – chrześcijaństwa (stąd wspaniałe ikony). Jednakże wielu badaczy uważa, że Bizantyjczycy odeszli od greckiego kanonu sztuki – naśladowania rzeczywistości, wzbogaceni o duchowy, tajemniczy i przejmująco mistyczny wpływ Wschodu. Jeszcze inni twierdzą, że utracili zdolność odwzorowywania natury w sztuce. „Dziś raczej skłaniamy się ku sądowi, że sztuka bizantyjska oddaje specyficzną cechę całej kultury – przekonanie o nierozerwalnym przenikaniu się światów wiecznego – Boskiego – oraz tymczasowego – ludzkiego. Tej skomplikowanej obecności Boga i

jego świętych w życiu ludzi, nie można było wyrazić poprzez kopiowanie natury. Dla Bizantyjczyków prawdziwy, realny sens rzeczywistości przekraczał porządek naturalny” [cytat za https://zpe.gov.pl/a/kultura-i-religia-bizancjum-miedzy-wschodem-a-zachodem/Dm1Gvy82B]

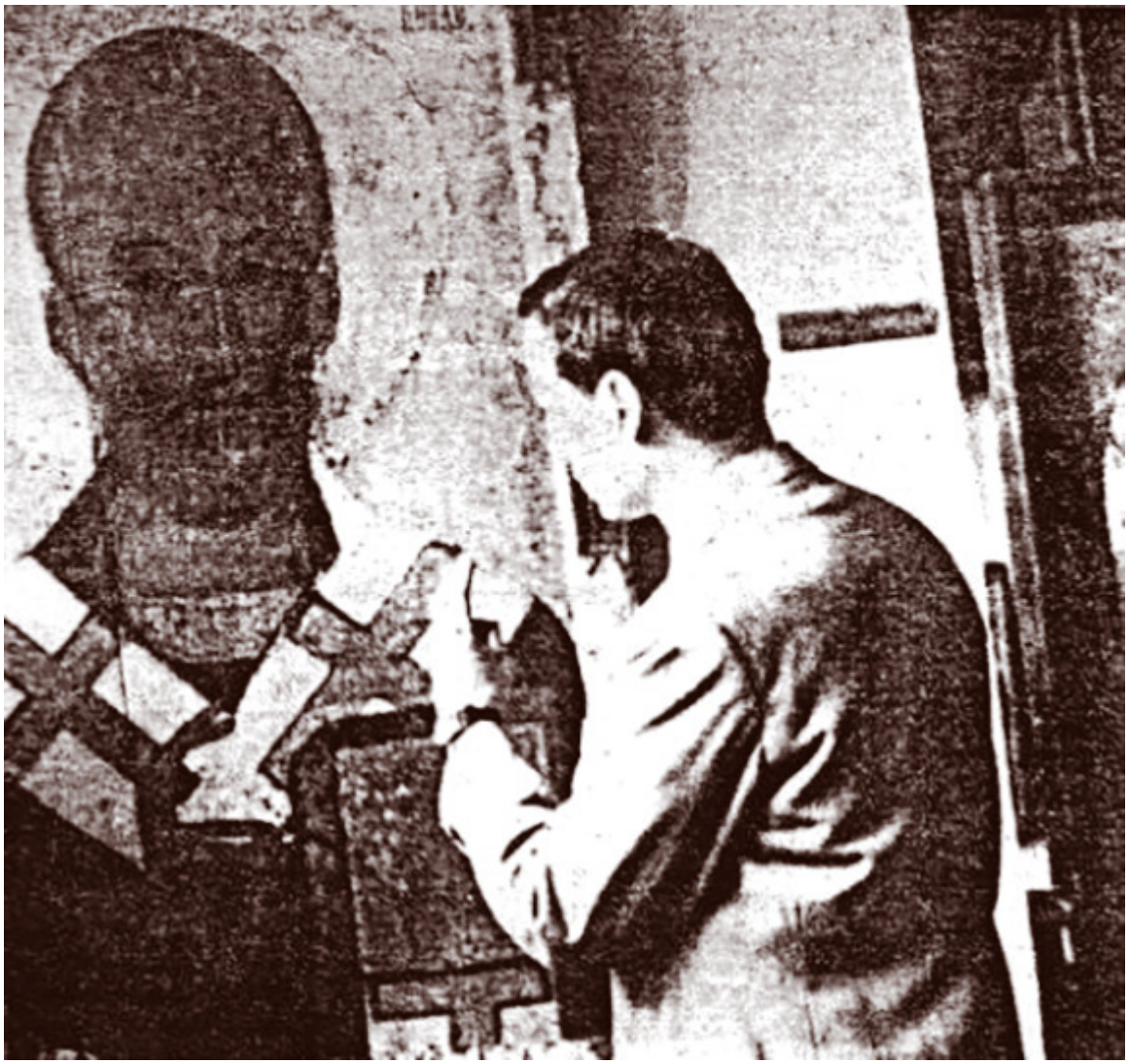

Rozmowa: Św. Mikołaj Cudotworec i Kazimierz Głaz. fot. Adam Krzemieniewski, Tretiakowska Galeria, Moskwa1962 r., arch. Kazimierza Głaza.

W takim oto duchu się poruszał i w takiej oto materii działał Głaz, a pierwszym impulsem, w połączeniu z artystycznym

zachwytem, była w 1962 roku wizyta w Moskwie i Petersburgu (wtedy w Leningradzie), gdzie zobaczył w Galerii Tretiakowskiej ikonę Mikołaja Cudotwórcy i szereg innych. Co za przewrotna ironia, której Głaz nie raz hołdował – w komunistycznym, totalitarnym kraju, pełnym przedziwnych „zombies" żyjących tam do dzisiaj i gustujących w zapomnieniu i oszołomieniu wódczanego „złego ducha", doznał duchowego i artystycznego olśnienia, będącego w kosmicznej niemal odległości od wywyższanej i wytrwale kaleczonej materii.

Sensyblizm już wtedy mocno w nim kiełkował. Wiele lat później, kiedy owa teoria się upowszechniła, a jego elementy w dalszym ciągu były nader tajemnicze, powiedział: „Sensybilizm, ze względu na nazwę, też wydawał się powstać za granicą, mimo, że tak naprawdę pochodził z górniczego Wałbrzycha, gdzie przez parę lat mieszkałem". I dodawał „Próbowałem wyjaśnić, jako twórca tego kierunku, wartość i znaczenie tego słowa – czyli pierwszego polskiego kierunku artystycznego, który bez zakazów i nakazów co malować i jak malować, odwoływał się jedynie do inteligencji twórców".

Wyjaśnianie – to był zachwycający, przemiły i nadzwyczaj cierpliwy odruch Głaza, esencja jego charakteru. Potrafił na swoich wystawach, widząc zakłopotanie ludzi i problem z rozgryzieniem esencji jego dzieł, podejść do takiej osoby, nawiązać rozmowę i wytłumaczyć owe jakby nieodcyfrowalne

elementy. Pamiętam ludzi, którzy po takim mini wykładzie rozjaśniali się wewnętrznie, mieli wrażenie, że nie tylko doznali olśnienia, ale że artysta, twórca, poświęcił im parę minut, właśnie im, by objaśnić zawiłe arkana sztuki.

Lecz Kazio był także figlarzem. Kiedyś na jednej z wystaw zbiorowych polskich twórców z Toronto, postanowił pomóc jakiejś pani, która stała przed obrazem w niemym zdumieniu i pomieszaniu. Nawiązał z nią rozmowę, wyłuszczył zasady sztuki i odsłonił w dość rozległym i dogłębnym wyjaśnieniu wnętrze owego obrazu. Na koniec zapytał ją, czy już teraz rozumie, na co kobieta zareagowała wręcz entuzjastycznie. Pożegnaliśmy się z nią odchodząc na bok. Po paru minutach zauważyliśmy, że stoi z paroma osobami przed kolejnym obrazem i o czymś tam zawzięcie peroruje. „Panie Krzysztofie” – rzekł nader dostojnym tonem Głaz – „niech pan po cichu tam podejdzie. Bo usłyszy pan to co ja jej przed chwilą mówiłem i co naprędce wymyśliłem”. I tak było.

Kiedyś odwiedziłem go w pracowni-domu na Roncesvalles i spędziłem tam cztery godziny, wodzony przez Głaza po zakamarkach jego sztuki. Był człowiekiem, który uświadomił mi i pokazał, ile jest rodzajów czerni. Moje płaskie widzenie czerni zmieniło się diametralnie. Dowiedziałem się także, że zbiera stare drzwi z ulicy, bo w swych zdobieniach (prostokąty lub kwadraty) miały już formy geometryczne. Zagruntowywał je i potem na nich malował.

Tu przepyszna anegdota. Ponieważ Głaz nigdy w życiu nie

pracował na stały etat i był panem swego czasu, stale zabiegał o różne dotacje, stypendia i tym podobne synekury. Kiedyś dowiedział się, że leżąca w sąsiedztwie parafia polska św. Kazimierza chce ufundować stypendium polskiemu twórcy. Pan Kazimierz złożył podanie i czekał. Stypendium nie dostał i potem dowiedział się, że jakaś gorliwa parafianka zaoponowała, twierdząc, że ten pan nic nie robi tylko stale siedzi w oknie i wszyscy to widzą, gdy przechodzą koło jego domu na ulicy Roncesvalles. Tak, rzeczywiście często można było zobaczyć profil Głaza w narożnym, wykuszowym oknie na piętrze. Siedział tam czekając aż podeschnie zagruntowanie kolejnego obrazu lub nabierał sił do następnego etapu malowania.

Jedna część jego, jakże bogatego życiorysu, była mi nieznana. W zamieszczonym w Internecie pożegnaniu go przez Muzeum Narodowe we Wrocławiu, znalazłem informację, że był także filantropem. I trafne podsumowanie jego wspaniałej sztuki: „Dążył do syntezy formy, próbował dotrzeć do istoty rzeczy na drodze poznania, odrzucając wszystko co zbędne. Jego kontemplacyjne, pulsujące zanurzonym w świetle kolorem kompozycje (obrazy, grafiki) emanują niezwykłą atmosferą tajemnicy i spokoju”.

Jeśli w ostatnich latach życia Głaz cierpiał, bo na przykład nie mógł już latać samolotem do swego ukochanego Krakowa i posiedzieć na Rynku z przyjaciółmi lub nawiązać – a czynił to

niezwykle łatwo – nowych znajomości, często z młodymi ludźmi; jeśli dokuczała mu starość i trapiące go choroby, w tym takie, które uniemożliwiły mu malowanie, to zyskał ten, jakże potrzebny i kojący, spokój.

Atmosfera tajemnicy pozostała, bo lepszego, w pełni sensybilistycznego zdarzenia, nikt by nie wymyślił. Minięcie się Głaza w kosmicznej przestrzeni z powracającą triumfalnie kosmiczną sondą, która przywiozła na Ziemię cząstkę tajemnicy powstawania Wszechświata. Wciąż otwartego na nasze zgłębianie, a także interpretacje.

Kopiowanie fotografii bez zgody redakcji zabronione.

Zobacz też:

> Wystawa prac Kazimierza Głaza w Muzeum Uniwersyteckim w Toruniu

> Kazimierz Głaz. Gwasze.

Święty Mikołaj – Cudotworec

Paryż, Luksemburg i nagroda Marca Chagalla

Prawo sensybilizmu

„To potężne dzieło sztuki” – powód malowanych gratulacji.

Przestrzeń Muzealna Witolda Gombrowicza w Vence we Francji

Sensybilizm. Sens i non-sens.

Anioł Stróż. Opowiadanie sensybilistyczne.

Schody Hiszpańskie. Opowiadanie sensybilistyczne.

W poszukiwaniu piękna. Kazimierz Głaz.